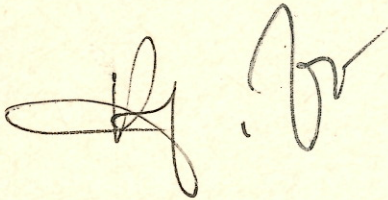


Marian TURWID

Data: 6 września 81 r.

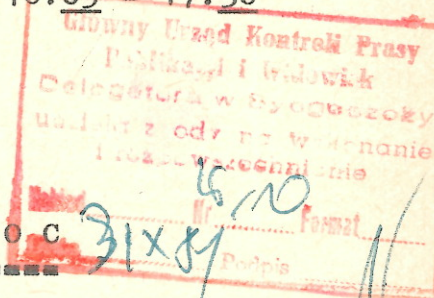
Redakcja Literacka

Godz.: 16.05 - 17.30



Z A N I M Z A P A D Ł A N O C

(fragment)



Po ślubie wyjechaliśmy do Zakopanego. Cieszyłam się bardzo, że celem naszej podróży poślubnej będą właśnie Tatry. Bo na wakacje jeździłam z mamą zawsze tylko nad morze, dla poratowania jej serca. Lekarze stanowczo odradzali mamusi pobyt w górach. Więc ich nigdy nie widziałam. Toteż przez całą drogę z Krakowa do Zakopanego nie odrywałam się od okna wagonu. Aż nawet Jurek, mój mąż, pokpiwał z mojego oczarowania górami. Ale wiem, że go to cieszyło, gdyż był zapalonym taternikiem.. Po przebyciu na miejsce mieliśmy sporo kłopotu z uzyskaniem pokoju, bo ścisk był wówczas w Zakopanem okropny. "Lato jest wyjątkowo piękne, a ludzie wolą w tym roku spędzać wakacje w górach, niż nad morzem, w obawie wojny z Hitlerem o Gdańsk". - tłumaczyli nam właściciele przepełnionych pensjonatów.

- Głupie gadanie - pomrukiwał zirytowany Jurek - wojny o Gdańsk nie będzie - zapewnił głośno. Jako oficer zawodowy wiem coś o tym. Hitler nie jest aż tak pomyłony jak go malują. Nie zaryzykuje star-

cia z Polską. Wie, że wyszedłby na tym jak Zabłocki na mydle.

Być może, że właśnie ta pewność siebie mego małżonka usposobiła do nas życzliwie zastrachaną właścicielkę pensjonatu "Pod Giewontem".

A może sprawił to dziarski wygląd przystojnego porucznika ułanów w świetnie skrojonym mundurze. Dla naszych dzielnych obrońców musi się u mnie miejsce znaleźć - zdecydowała i oddała nam komórkę na poddaszu, na gwałt przerobioną na pokój gościnny. Było mi trochę

przykro, że nasz "poślubny" apartament tak się mizernie prezentuje, ale byliśmy radzi, że się w ogóle jakiś kąt znalazł. Choć za ten kazano nam płacić tak samo drogo jak za normalne pokoje.

Nie przebywaliśmy w nim długo. Już w kilka dni później proponowała nam gospodyni przeniesienie się do któregoś z najładniejszych apartamentów na pierwszym piętrze: Możecie państwo wybierać: albo ten z widokiem na Giewont, albo narożny z balkonem, a może sąsiedni, najbardziej nasłoneczniony.

Zajęci sobą i całodziennymi wycieczkami w góry zupełnie nie zauważyliśmy nagłego i stale wzbieającego odpływu letników. Zakopane wyludniało się niemal z dnia na dzień. - Wojna może wybuchnąć w każdej chwili - powtarzali sobie ludzie, przerywając urlopy i szturmując pociągi odchodzące w głąb kraju.

- Panikarze - złościł się Jurek - dają się nabierać na hitlerowski bluf. Będą później żałować, że tak głupio ulegli owczemu pędowi i popsuli sobie wakacje. A niech uciekają, parany! Idziemy na wycieczkę, Maryla.

Gdy nas, po powrocie, gong wezwał na kolację, obszerna jadalnia była niemal pusta. Widok tylu niezajętych stolików w porównaniu z tłokiem, jaki panował tutaj jeszcze przed kilku dniami, wydał mi się jakiś niesamowity i przejął lękiem. Powiedziałem o tym mężowi. Odpowiedział wzruszeniem ramion. - Siadajcie państwo z nami, będzie nam raźniej - zaproponowała właścicielka pensjonatu, zapraszając do stołu, przy którym prócz niej siedziały dwie leciwe damy i poważnie wyglądający jegomość:

- siostry mego męża i pan naczelnik oddziału Departamentu Morskiego w Ministerstwie Handlu - przedstawiła nam pani domu. Naczelnik Urbański, podobnie jak mój mąż, był zdania, że do wojny nie dojdzie:
- zaledwie półtora miesiąca temu wróciłem z podróży służbowej do Niemiec. Byłem w Berlinie, w Lipsku, w Dusseldorfie. Rozmawiałem z przemysłowcami, handlowcami, z poważnymi przedstawicielami sfer kupieckich. Sfery te są stanowczo przeciwne jakiegokolwiek awanturze wojennej, a wiadomo, że bez ich udziału wojny nowoczesnej prowadzić

nie można.

- A nie mówiłem? - triumfował Jurek.

Płynąca z głośnika radiowego muzykę taneczną przerwano nagle w pół taktu: - Uwaga, uwaga - podajemy komunikat specjalny: wszyscy wojskowi przebywający na urloпах zobowiązani są wrócić w najszybszym terminie do swych jednostek...

Najbliższy pociąg do Krakowa odchodził nazajutrz rano. Był niemal pusty. Za to pospieszny z Krakowa do Gdyni był zapchany do ostatniego miejsca, aż ~~pieniędzy~~ do Kępna siedzieliśmy na walizkach stłoczeni na korytarzu wagonu, wśród zmęczonych, rozdrażnionych, przygnębionych współpasażerów. Zupełnie inaczej wyobrażałem^d sobie powót^r z podróży poślubnej. Dopiero od Poznania uczyniło się nieco przestronniej. Ale i tak do domu wróciliśmy na pół żywi. Jednak Jurek nawet słuchać nie chciał o odpoczynku. Mieszkaliśmy przy Leśnej, więc miał blisko. Wrócił niebawem, aby mnie powiadomić, że zaraz rusza dalej, za pułkiem, który stanął w okolicy Chojnic. - Będę więc niedaleko - uspokajał mnie. - Powiedziano mi poufnie, że jutro rano ogłoszona będzie powszechna mobilizacja. Nie przejmuj się tym, bo to tylko demonstracja - zapewniał. - Hitlerowi rura zmięknie kiedy się przekona o naszej gotowości bojowej. Naszej i naszych

sojuszników. Jak go weźmiemy we dwa ognie, my z jednej, a Francuzi i Anglicy z drugiej strony, to koniec z Adolfem. ~~Nie on o tym~~
~~bardzo dobrze, więc na pewno do wybuchu wojny nie dopuści.~~ Za parę dni znów do ciebie wrócę.

Wrócił po kilku dniach. Wnieśli go dwaj ułani z jego szwadronu. Był ranny w staw biodrowy i w nogę. Bardzo cierpiał. Postękiwał i klął na przemian. - Jakiś drań dywersant strzelił do mnie z ukrycia, kiedy mijaliśmy Zbożowy Rynek - wyjaśnił. - To Niemiec - cywile ostrzeliwują z dachów, okien, zza węgła nasze oddziały wycofujące się przez miasto - poinformował mnie ten z ułanów, który miał na ramieniu opaskę sanitariusza. - Cywile, nie cywile - dorzucił drugi - bo jak nam porucznika postrzelili, tośmy się zatrzymali i przetrząsnęli dom, z którego padły strzały. Przyłapałiśmy szkiebra na strychu. Miał jeszcze sporo amunicji. Kiedy go kapral Woźniak załatwił i kiedyśmy sobie tajnego strzelca dokładniej obejrzel, tośmy zauważyli, że ten cywil ma na sobie kurtkę, jakiej u nas nikt nie nosi. I ubrany był w gruby, wełniany sweter ściągany pod szyję, na zimę, a nie na takie ciepłe dni jakie tu teraz nastają.

- Ależ się to draństwo zorganizowało! - złościł się, nie bez

podziwu w głosie, mój mąż. Jeszcze Bydgoszcz w polskich rękach, a już Niemcy strzelają nam w plecy. Że też, psiakrew, mnie właśnie musieli trafić. Wziąłbym mocnych chłopców i raz dwa - zrobił z dywersantami porządek.

- To by pewnie tak łatwo nie poszło - ośmielił się wątpić starszy z ułanów - bo ludzie powiadają, że szkiebry strzelają do żołnierzy i do uchodźców w różnych punktach miasta: na rogach ulic, na przedmieściach i nawet z wieży tego swojego kościoła na Placu Wolności. A zawsze z ukrycia. Tak się dranie zmyślnie chowają na strychach i przemykają się chytrze po dachach, że trudno ich utrafić.

- Skąd się ich tu tylu nabrało?

- A bo to pan porucznik nie wie, że u nas szkiebry robili zawsze, co im się żywnie podobało? Mało to ludzie nie nawyrzekali, że w Polsce Niemcom lepiej się żyje niż Polakom! ~~Widział tu kogoś kiedy bezrobotnego Niemca?~~ Choć naszych w mieście dziesięć razy więcej niż ich, oni mają wszyscy majątki, fabryki, kamienice. A nasi gnieźdzą się tysiącami w barakach dla bezrobotnych. Więc kiedy się Niemiaszkom u nas aż tak bardzo powodziło, to sobie pospraszali gości z Vaterlandu do Polski, na polo-

wanie. Żeby nam się wywdzięczyć za naszą dobroć i trochę sobie do nas postrzelać.

~~Do pana porucznika też.~~

- Zapamiętajmy to sobie, dobrze zapamiętamy i po tej wojnie przegnamy ich już, co do jednego.

- Na razie, to oni przeganiają nas - ponuro stwierdził ułan.

- To, tak na początek. Ale ~~nich~~ się tylko Anglicy i Francuzi ruszą...

- Nam już czas ruszać za szwadronem - pożegnali się ułani.

- I niech się pan porucznik prędko wyrzeczy i za nami pociągnie, bo nam będzie smutno wojować bez pana.

A w przedpokoju powiedział do mnie sanitariusz: - Opatrzyłem naszego porucznika, jak mogłem. Kości zdaje się nienaruszone. Ale lekarz powinien by rany zobaczyć, bo mogą być komplikacje.

Niełatwo było wtedy o lekarza. Ci, których ~~znałem~~, nie odpowiadali na moje telefoniczne wezwania. Widać już opuścili miasto. Któryś z obcych mi ~~odzwalał~~ się, żeby mnie zburzyć: - Jak mogę domagać się, żeby szedł do chorego, gdy na ulicach strzelanina:

- Jest wojna, proszę pani, a ja mam żonę i dzieci, więc nie mogę lekkomyślnie narażać życia. - Dopiero na mój telefon do Szpi-

tala Miejskiego usłyszałam radę, aby męża zaraz przywieźć: "Im prędzej, tym lepiej, gdyż już się robi ciasno od wciąż dowożonych wojskowych i cywilów ranionych przy przejeździe przez miasto". Karetki po rannego przysłać niestety nie mogę, bo szpital nie dysponuje teraz żadnym środkiem lokomocji.

Stałam długo przy szosie Gdańskiej i próbowałam zatrzymać któryś z przejeżdżających samochodów, ciężarówek, furgonów. Ale ludzie w nich jakby byli głusi i niemi. Zresztą wozy wypełnione były przeważnie do ostatniego miejsca. Pędziły przed siebie, byle prędzej, byle dalej. Aż mnie to przeraziło: Wszyscy uciekają, a ja tu stoję bezsilna- i bezradna. A mój mąż nawet kroku zrobić nie jest zdolny. Rozplakałam się ze strachu i z rozpacz. I już nawet nie próbowałam wstrzymać gestem mijających mnie pojazdów. Aż w pewnej chwili zaczęły wszystkie raptownie hamować. Gdzieś przed nimi, już chyba u wylotu ulicy Gdańskiej zaterkotały karabiny maszynowe. Tuż przy mnie z ostrym zgrzytem zatrzymała się kryta półciężarówka. Z szoferki wyskoczył młody żołnierz. - Co się tam dzieje?! - dopytywał się.

- Niemcy strzelają przy wjeździe do śródmieścia.

- Niemcy?! - powtórzył zaskoczony - tutaj? Już zdobyli miasto?

- Nie, to nasi... Niemcy. Miejscowi. Strzelają z ukrycia.

Ich strzały spowodowały okropne zamieszanie. Ludzie rozbiegli się, konie padając wywróciły wozy, na które w pędzie najechał przepelniony pasażerami autokar. Katastrofa spowodowała zupełne zatarasowanie ulicy.

Wtedy strzalnina zaczęła ustawać.

- To może długo potrwać, zanim uciszą dywersantów i usuną zator. Czy nie można by przejechać jakąś boczną drogą? Muszę jak najprędzej dotrzeć do Torunia... - frasował się kierowca ciężarówki.

Próbowałam mu określić kierunek objazdu, ale nie mógł się w tym powikłaniu zorientować. - Najlepiej gdyby pani zechciała wsiąść do szoferki i trochę podprowadzić - proponował nieśmiało.

Przystąpiłam pod warunkiem, że przewiezie mi męża do szpitala: - To bardzo blisko i prawie po drodze - uspokoiłam się go. - Nie zabierze pani wiele czasu.

Zgodził się, podjechał przed nasz dom, pomógł mi Jurka przenieść do samochodu, a potem wnieść do dyżurki szpitalnej. Zrozumiał, że musi na mnie trochę poczekać, aż męża oddam w ręce lekarzy. W izbie przyjęć panował ogromny rozgardiasz... Dyżurny pielęgniarz zupełnie nie panował nad sytuacją. Pobiegnęłam na korytarz i na szczęście wśród przechodzących lekarzy dostrzegłam doktora Schumanna, Niemca,

cieszącego się opinią wybitnego chirurga i niezwykle uczynnego człowieka. Operował przed laty mego ojca. Zwróciłam się do niego o pomoc. Bardzo był podenerwowany. W pierwszej chwili jakby nie dotarła do niego moja prośba. Ale potem przypomniał sobie mnie i wyraził zdziwienie, że nie opuściłam jeszcze miasta. - "Przecież rodziny zawodowym wojskowych wyewakuowano już przed kilku dniami?" - Nie mogłam z nimi wyjechać bez gosposi. Czekam na jej powrót z sanatorium. Nie dała by sobie staruszka rady beze mnie. I mój ranny mąż także nie.

- Rozumiem, rozumiem - zgodził się - a jednak - dodał ciszej, oglądając się - byłoby lepiej, gdyby pani teraz w Bydgoszczy nie było.

Dzięki jego interwencji zabrano Jurka od razu na oddział chirurgiczny. Był dziwnie bezwolny, może na skutek bardzo podniesionej temperatury.

- Nie podoba mi się ta wysoka gorączka - powiedział doktor Schumann.
- Proszę się jednak nie niepokoić, zaopiekuję się pani mężem. Zbadamy jego rany, prześwietlimy go i wieczorem będę już mógł pani udzielić dokładnych informacji. Proszę wpaść do nas za trzy, cztery godziny. Choć, nie - poprawił się - proszę nie przychodzić. Zatelefonuję do

pani. Tak będzie bezpieczniej. ~~Bo nie wiadomo, co w najbliższych godzinach może się wydarzyć. Świat staje na głowie!~~

Świat przed szpitalem wyglądał normalnie. Spokojnie, niedzielne popołudnie. Pogodne i senne. Cisza i upał rozebrały widać mego młodego żołnierza. Drzemał wsparty o kierownicę. - Wyjechałem po całonocnej służbie - usprawiedliwiał się. Zapuścił motor i ruszyliśmy w kierunku ulicy Chodkiewicza. Na przejeździe kolejowym do rzeźni miejskiej posypały się nagle strzały karabinowe ze wszystkich stron naraz. Strzelających nie dostrzegliśmy zupełnie. Szofer dodał gazu i pędem zjechał w ulicę Markwarta. Gdyśmy dotarli do przecznicy, odezwały się znowu strzały. Gęsto, seriami. Ciężkie karabiny maszynowe! - rozpoznał kierowca - chyba ze trzy! - Obejrzałam się przerażona. Nie było wątpliwości: strz^{ła}ano z murów cmentarza ewangelickiego. Szczęściem, zasłoniły nas kamienice ulicy Trzeciego Maja. Przelecieliśmy ją w pędzie. Ale u wylotu Jagiellońskiej trzeba było wóz zatrzymać. Bo przechodziła właśnie grupa kolejarzy z karabinami, prowadząca kilku rozbrojonych żołnierzy. - Cóż to - zawołał szofer - naszych do niewoli wzięliście?! - Mundury mają nasze, ale gadać po polsku nie umieją. A legitymacje to im chyba wydrukowali w Berlinie. Strzelali do nas z kościoła protestanckiego przy placu Kościeleckich.

- Pod mur dywersantów! - wrzasnął któryś z przechodniów.

- Oddamy ich zaraz w ręce władz - odkrzyknęli kolejarze. -

Już tam będą wiedzieli, co z tymi farbowanymi Polakami zrobić.

- Jakich władz? - rzucił ktoś z chodnika. - Starosta zniknął, na ratuszu pustki, a policja właśnie pakuje manatki.

- Nie pleć pan głupstw - naparł na mówiącego starszy z kolejarzy. - Za sianie paniki trzeba by pana także wziąć pod karabin.

Zgromiony nie obruszył się. - Mnie też cholera brała, kiedy usłyszałem, że zaraz po wczorajszym nalocie nasze władze zwały z miasta.

- To niemożliwe.

- Zaraz się pan przekona. Do Komendy Policji niedaleko. Ale najlepiej idźcie od razu do dowództwa Placu. Widziałem tam jeszcze posterunki wojskowe.

Kierowca ciężarówki dokonał tymczasem pośpiesznych oględzin swego wozu. - Mieliśmy szczęście - skontatował z ulgą. - że tak mar-

nie celowali. Bo gdyby nam puścili serię trochę niżej, to by opony diabli wzięli. Dostało się ~~cała~~ skrzyniom z dokumentami. Ale już

lepiej, że kule ugrzęzły w aktach, niż w nas.

Na Zbożowym Rynku pożegnałam mego przygodnego towarzysza.

Ruszył dalej ulicą Toruńską, a ja z powrotem, przez plac, który wyglądał jak pobojuwisko: ubite konie, poprzewracane wozy, porzucony samochód, pełno śmiecia i odpadków. Nieco dalej ~~minąłem~~^{8/8} trupy trzech żołnierzy, nie wiadomo: naszych, czy Niemców w polskich mundurach. ~~Zrobili mi się strasznie~~ ~~i~~ niemal biegnąc wpadłam w ulicę Długą. Odetchnęłam, gdy zobaczyłam tramwaj. Zgrzytał i dzwonił jak zwykle. I wszystko byłoby jak zwykle, gdyby nie prawie puste chodniki tak ludnej zazwyczaj ulicy, tłumy mężczyzn na Starym Rynku oblegające ratusz i gromada gapiów przy moście na Brdzie.

- Co się tu dzieje? - dopytywano się w tramwaju. - Nasi saperzy przygotowują most do wysadzenia - poinformował konduktor. ~~Żeby Hitlerowcy nie mogli przejść - dodał wyjaśniająco.~~

~~- A my, jak będziemy przechodzić? - dał ktoś wyraz wspólnej trosce.~~

- To ten tramwaj nie będzie już mógł wrócić? - zatroskała się któraś z pasażerek.

Konduktor wzdrygnął ramionami.

Milczenie zalegało wóz.

Rozdarł je zawodzący ryk syren.

- Alarm! Wysiadać! - zarządził konduktor.

Motorniczy zdjął kolbę i wszyscy schroniliśmy się do bram najbliższych domów. Za chwilę przez uchylone wrota ujrzeliśmy przejeżdżający w galopie oddział lekkiej artylerii. W tym samym momencie posypały się strzały karabinowe. Zobaczyłem padające konie, łamiące się wozy, rozbiegających się żołnierzy. Kilku z nich wpadło so naszej bramy.

- Cholery!

- Skąd strzelają? - dopytujemy się.

- Z górnych pięter narożnego domu towarowego i z wieży kościelnej.

- A wy na to nic, tylko chowacie się po sieniach? - oburzył się ktoś z głębi klatki schodowej.

Żołnierz najbliższy drzwi podniósł karabin, złożył się i zaczął strzelać do górnych okien wieży.

- Panu Bogu w okno? - zadrwił stojący za nim kapral.

- Szkoda nabojów.

Dał się słyszeć rosnący szybko warkot nisko widać lecących samolotów.

Teraz i kapral wziął się do strzelania.

- A może to nasze - reflektował ich ktoś - francuskie, albo

angielskie? ~~Może już ruszyli, aby nam przyjść z pomocą i nie do-
puszczają Niemców do miasta.~~

- A pewnie. Przecież mówili przez radio, że dziś przed po-
łudniem Anglia i Francja wydały Niemcom wojnę. A samolotem z Paryża
albo z Londynu przecież do nas niedaleko.

- No, to już teraz nie potrwa długo.

Żołnierze wybiegli, mimo że alarmu jeszcze nie odwołano,

- Nie wychodzić! - wzbraniał cywilom energiczny starszy pan
z opaską obrony przeciwlotniczej na ramieniu.

- Bo wczoraj, podczas nalotu, osoby, które nie zeszły z uli-
cy zostały ostrzelane z pokładowych karabinów maszynowych i pora-
nione odłamkami bomb - ostrzegał.

Stan alarmowy przedłużał się.

Począł mnie ogarniać niepokój: nie zdołam wrócić na czas,
aby odebrać telefon od doktora Schumanna.

- Muszę koniecznie do domu - próbowałam przekonać funkcyj-
nariusza obrony przeciwlotniczej.

- A daleko pani mieszka?

- Na Leśnej.

- Niedobra dzielnica - wtrąciła stojąca obok mnie kobieta.

- Znadto oddalona od śródmieścia. Tam Niemcy są jeszcze bezczelniejsi. Wczoraj wieczorem, na Bielawkach wdarli się do niektórych domów, wymordowali mieszkańców, a potem z ich mieszkań strzelali do uchodźców i wojska.

Do sieni wtaszczyła się, dysząc głośno z wyczerpania, objuczona bagażem niewiasta z trojgiem dzieci. - Odpocznę trochę i zaraz pójdziemy dalej - oświadczyła siadłszy na zrzuconym z pleców ciężkim tobole.

- Pani skąd?

- Uciekłam z Chojnic. Tam już są Niemcy. Święty Boże, czego oni nie wyrabiają! Mordują mężczyzn, katują kobiety, rabują mieszkania, porywają dzieci... Trzeba od tych zbójów uciekać, jak najdalej uciekać!

- Dokąd?

- Nie wiem. Mąż by wiedział, zaradził, pomógł, ale go wzięli do wojska, żeby bronił Warszawy. A mnie i dzieci kto obroni? - rozszlochala się rzewnie. Ktoś zaproponował jej gościnę.

- Gdzie, tu? Niech Bóg broni! Odpocznę tylko trochę i zaraz pójdziemy dalej.

- Dokąd? Teraz, na noc? Z dziećmi? - próbowano jej wyperswadować.

- Dokąd? Wszystko jedno, byle tam gdzie Niemców nie ma.

- Tu ich nie ma.

- Ale za parę godzin będą. Już są niedaleko. A nasze wojska cofają się. Trzeba ~~tu~~ uciekać, jak najdalej uciekać!

- Co z tym alarmem? - poczęto się denerwować. Czemu go nie odwołują? Warkotu nie słyszać, strzelanina umilkła, a alarm trwa.

- Może już go nie ma kto odwołać? - zauważono sceptycznie.

- Poczekajmy jeszcze trochę - mitygował starszy pan z opaską.

Nie starczyło mi już cierpliwości. Mimo nie odwołania alarmu wybiegłam na ulicę. Była pusta i cicha. Bez przeszkód dotarłam do domu.

I jeszcze nie zdążyłam zdjąć płaszcza, gdy odezwał się dzwonek telefonu:

- Dzwoniłem już dwa razy. Bałem się, czy nie stało się pani co złego. Rany męża pani nie są skomplikowane. Trzeba będzie jutro operować nogę, bo mogłoby się skończyć trwałym kalectwem. Proszę się nie obawiać, wszystko będzie dobrze. Ale parę tygodni mąż pani w szpitalu poleży. Prosił, żeby panią pozdrowić. A ja życzę pani spokojnej nocy. Spokojnej nocy - powtórzył z naciskiem.